

Pomyłka stylu

268

Bardzo to szlachetnie ze strony Andrzeja Hausbrandta, że redagując program do komedii kryminalnej (tak brzmi podtytuł, więc proszę nie doszukiwać się aluzji) Kazimierza Brandysa „Inkarno”, przedstawionej w Teatrze Ateneum w reżyserii W. Laskowskiej, scenografii A. Sadowskiego i z muzyką W. Kotońskiego, przytoczył tekst „Listu XIV do Pani Z.”. Dostarczył przyjemnej lektury tym, którzy tego tekstu nie znali, przypomniał go czytelnikom zapamiętawszy.

Przyznam się, że mnie ta lektura sprawiła większą satysfakcję niż widowisko, które jest osnute na motywach tego listu, słowem jest scenicznym rozpracowaniem tej samej autorskiej wizji.

List XIV do Pani Z. można traktować prawie jak nowelę filmową, z której mógłby powstać żywy i ciekawy scenariusz, bo film potrafi prozę rozbudować, uzupełnić, rozwinąć. Inaczej jest z teatrem — ten domaga się raczej skrótów, woli być lakoniczniejszy od opowieści. To też w braku własnego pomysłu ludzie teatru nieraz porywają się na udramatyzowanie długich powieści. Niewątpliwie upraszczają wtedy treść, zubożają wizję autorską, ale jakie takie widowiska z tego pliczą. Natomiast przebudować nowelkę 6-stronicową na widowisko parogodzinne to już sprawa cięższa.

Niemalym kłopotem jest to, że osoby widowska teatralnego muszą mówić, przynajmniej od tego przyzwyczailiśmy się. A jeśli nie będą miały nie ciekawego do powiedzenia, ściślej — nic ponadto co już na 6 stronach powiedział autor? Wtedy zaczną filozofować, a filozofowanie to nie to samo co filozofia. Zaczną gawędzić, a nie każda rozmowa jest dialogiem. Zaczną z ich ust padać

nie paradoksy, lecz frazesy. Jak na przykład ten, że najbardziej się trzeba lękać samego siebie.

„Agamemnon Kilitalmnestry. A ty sam się siebie strzeż”... Poeta zamknął to w dwu linijkach, Brandys jako narrator opracował na 6 stronach, Brandys jako dramaturg zagubił na kilkudziesięciu stronach maszynopisu, jak igłę w stogu siana.

Kłopotliwy, bo rezonerski tekst „Inkarna” pozostaje wszakże przyzwolną literaturą, której stosunkowo nie za dużo mamy ostatnio na naszych scenach i dlatego chciałbym żeby ta z konieczności zwięzła krytyka była przyjęta równie poważnie, jak ja się ustosunkowałem do rzeczy.

Widziałem zresztą już całkiem honorowe przedstawienie zbudowane na tym tekście, mianowicie w Teatrze Dramatycznych Wrocławia. Można było za nie dać nawet nagrodę na festiwalu. Ale warunkiem tego była stosowniejsza gra. Potrafiono tam wydobyć to, co jest siłą „Inkarnat” — psychologizowanie. Na to zaś potrzebna jest szczególna konwencja aktorska: raczej tradycyjna, spokojna gra psychologiczna aktorów z tak zwanym „wnętrzem” niż jaskrawa efektywność i efekty mimiczne, dające lepsze rezultaty w utworach o większym tempie.

Tak właśnie — spokojnie, bez dodatkowych dowcipów grali we Wrocławiu Młodnicki Profesora, Danielewski Anatola, Kurowski Skamieniała różę. Wołno o tym wspominać, bo to była prapremiera. W inscenizacji Ateneum starał się o właściwy ton, pasujący do sztuki chyba tylko Pak jako Anatol i Kostecki. Jeśli nie liczyć epizodów Koczewskiej, Danzana i Omega.

Inni grali nie na temat, a przecież to artyści znani ze swych świetnych ustatków w sztukach zupełnie innego rodzaju. Ulepienie postaci Profesora przez Matyjaszkiewiczą od zewnętrznej strony, a nie od wnętrza, jaskrawa charakterystyczność Kepińskiej — pasowałyby raczej do fars. A to przecież mimo pozorów, nie jest brandysowski „Chory z urojenia”, ale raczej „Mizantrop” — zachowując wszystkie należne proporcje.